

# Ej, lala, but ci się...

Z tej okazji zapraszam na seans filmu, aby wyrobić sobie własną opinię na temat tegoż popkulturowego fenomenu. Przy okazji nieskromnie zapraszam również do przytrzymania mojej ręki (tylko jednej - drugą trzymam na sercu), kiedy zgodzą się Państwo przebrnąć przez poniższą lekturę. Tak jak w przyływie chwili zdecydowałem się to zrobić przy odbiorze nagrody, tak samo ponownie decyduję się zadedykować ten tekst Anicie Lipnickiej. Ma to swoją jedną, prostą przyczynę - po prostu teraz już widzę, że „wszystko się może zdarzyć”. Niech więc zdarzy się i ten tekst:

## **Ej, lala, but ci się... no, ten tego!** **„Barbie” (2023) a feminizm w odmętach kapitalizmu**

Za dzieciaka miałem kiedyś Barbie, której nożyczkami stylizowałem często fryzurę. Nie wystarczała mi wtedy świadomość, że to lalka, która nigdy nie zpuści dalej włosów. I tak chciałem uniknąć tego, żeby nie rozdziwiły się jej końcówki. A teraz mam wrażenie, jakby to Greta Gerwig do swoich lalek także korzystała z nożyczek. Tym razem jednak poszła o krok dalej i podcięła „Barbie” ręczki oraz nóżki, byle tylko zmieścić ją do małego pudełka z wielkimi miliardami. Szkoda. Może dość naiwnie, ale liczyłem jednak na wielkie pudełko o wielkim przesłaniu z równie wielkim przychodem ze sprzedanych biletów. Albo jakimkolwiek przychodem - byle tylko o wielkim przesłaniu. Przeliczyłem się. Przeliczyłem się dokładnie o jeden miliard dolarów. I ciągle odliczamy...

Ale od początku... Jest zapach tostów, suchej kanalizacji i pustych śmietników toczonych przez dwie kobiety w tę samą stronę. Nieznośnie infantylna piosenka wita każdy poranek w świecie Stereotypowej Barbie (granej przez Margot Robbie), która dzień w dzień budzi się ze wszystkich lalek jako ostatnia. Od tego momentu rutyna bohaterki zacznie się jednak zmieniać. Wszystko przez to, że akurat jedna jedyna osoba w Ameryce, grana w dodatku przez aktorkę o imieniu America, bawiła się kiedyś ze swoją córką lalkami, a teraz czuje się już smutna. W związku z tym, Barbie przestaje tańczyć i zaczyna myśleć o śmierci. Zamiast zignorować swój nowoprzybyły cellulit oraz płaskostopie („zdrowe” lalki są wszak robione z gładkiego plastiku, a podeszwy mają zawsze idealnie wygięte pod wysokie buciki), wyrusza z Kenem (napakowanym Ryanem Goslingiem) na przygodę do Prawdziwego Świata. To pozwoli wrócić jej ciału do stanu „jak z pudełka”. Dzięki temu, jakimś cudem, Stereotypowa Barbie będzie mogła zwalczyć opresję wpisaną w Zachodni patriariat. W dodatku do samego końca filmu zapewniając facetów, że bez pomocy kobiet oni także mogą być bezKenkurencyjni.

Bo przecież tego nam brakuje - mężczyzn w oderwaniu od kobiet, a nie kobiet w oderwaniu od mężczyzn! To brzmi bardziej jak śmianie się przez łzy, że facetom - którzy cały czas kontrolują na świecie, kto i jak może o nich mówić - przynajmniej raz ktoś inny niż oni sami może pokazać, że także są wartościowi. Mniej tu faktycznego wymarzenia sobie świata, w którym mężczyźni, kobiety, wszyscy pomiędzy, ponad i nigdzie na spektrum płci mają takie samo pole do samorealizacji. Chciałbym się jednak mylić.

„Barbie” nie jest filmem feministycznym. To chyba jasne? W kwestii feminizmu bliżej mu raczej do Margaret Thatcher na stanowisku premierki Wielkiej Brytanii, niż bell hooks z jej podstawami do interseksjonalnej teorii feministycznej. W „Barbie” mamy bowiem Sąd Najwyższy złożony z samych kobiet - ale odpowiedzią na kryzys demokracji jest tam odsunięcie części społeczeństwa od głosu (zajęcie mężczyzn walką ze sobą na plaży). Geje oglądający się za Kenem na rolkach to przedmiot żartu, a rzekomo pozbawione narządów i orientacji płciowych lalki chodzą w ciąży i

heteroseksualnych parach. Widzę, że na Zachodzie bez zmian...

Zamiast patriarchy - zbliża się... patriarchat. Ale tym razem już nie tak ostentacyjny, bo ma tylko konie, piwo i molestowanie. W dodatku z całym swoim inwentarzem amerykańskiej normy (męskiej, heteroseksualnej czy białej).

Pojedyncze castingi, które temu przeczą (angaż transpłciowej Hari Nef czy „Brzyduli Betty” Ameriki Ferrery), nie załatwiają jednak sprawy do końca. Lepiej uspokoić „mniejszość”, dając jej tylko palec. Ale resztą ręki niech zajmą się już osoby uprzywilejowane.

To asekurancka sytuacja, w której nie da się nikomu zarzucić uprzedzenia, bo przecież „marginesy” pojawiają się na ekranie. I na dodatek mówią! A reżyserią zajmuje się nawet kobieta!! Wybór na tę rolę Greta Gerwig, znanej wcześniej przede wszystkim z kina niezależnego, także nie wydaje się tu przypadkowy. Widzę to jednak bardziej jako nie-binarny marketing.

Chwila... „Nie-binarny”? Pomyślmy sobie bowiem o „zerze” i „jedyńce”. Pod „jedyńkę” można postawić wszystko, co ma jakąś wartość, bo w naszej kulturze zostało już uznane za dobre. Z kolei „zero” nauczyliśmy się zrzucać na margines. Żeby je zrozumieć, stawiamy oba pojęcia względem siebie w ciągłym konflikcie. Jak w Matrixie. Zera i jedynki. Zło i dobro. Taką „zero-jedynkowość” nazywam „binarną”.

Układ „nie-binarny” z kolei to taki, w którym pomiędzy „zerem” i „jedyńką” są jeszcze punkty „trzy czwarte” albo „pół”. Ale zawsze ideał „jedyńki” w opozycji do „zera” tam pozostaje. Jak sama nazwa wskazuje, „nie-binarność” tylko udaje, że nie jest „binarnością”.

To taki Netflix, który wypuszcza szósty sezon „Czarnego lustra” i krytykuje samego siebie za nieetyczne wykorzystywanie cyfrowych wizerunków aktorów dla własnego zysku. I potem pozwala dwóm drag queens się z tego serialu śmiać („I Like to Watch with Trixie Mattel and Katya”). Bo nieważne, co mówią - ważne, by mówili. A miesiąc później rozpoczynają się strajki SAG-AFTRA, krytykujące wielkie wytwórnie z bardzo podobnych powodów.

„Nie-binarność” to forma mydlenia oczu, że z opresji można przez chwilę sobie pokpić, bo i tak nikt się jej skutecznie nigdy nie pozbędzie. Dla kapitalizmu zamiast „zerem”, będziesz teraz co najwyżej „zerem i pół”.

Tak samo u Greta Gerwig brakuje miejsca na równość. Reżyserka ośmiesza patriarchat, ale w zasadzie nic z nim później nie chce zrobić. Bo kobiety mogą być w końcu przynajmniej „trzy czwarte”! To i po co? Najważniejsze, że pod przykrywką różowych T-shirtów w sieciówkach i seriali o Bratz w planach można pobawić się w feminizm. A skoro tak dużo u Gerwig konformizmu, to w skali zero-jedynkowej jestem zmuszony dać jej tylko „zero”.

Mimo że osoby stojące za filmem starają się unaocznic pewne problemy, to czy tak naprawdę wnoszą coś nowego? Nie do końca... Dla przykładu: jest taka scena, w której Gloria, sekretarka firmy Mattel (w tej roli America Ferrera), ma dwuminutowy monolog. Najpierw siedzi w kadrze razem z Margot Robbie, potem widać samą Margot, później Gloria wstaje, ale wtedy pokazują nam tylko Laureatkę Literackiej Nagrody Nobla i Margot w zbliżeniach, potem znowu Głorię, ale tym razem z wymalowaną Dziwną Barbie w tle, a chwilę później już samą Margot, i Laureatkę, i Głorię, i Dziwną Barbie, i tak w kółko. Przez. Dwie. Minuty. Niech nie zwiedzie Was jednak ta montażowa choroba lokomocyjna.

Bohaterka mówi bowiem rzeczy bardzo ważne; że w patriarchacie kobieta zawsze będzie

niewystarczająca. Jak zrobi coś dobrze i będzie „jedyńką”, to jednocześnie robi coś złe i jest „zerem”. I na odwrót. Kiedy jest wystarczająco ładna dla koleżanek, to będzie wtedy za brzydka dla reszty mężczyzn. Jak chce być zdrowa, to tylko tak, żeby nie przytyć. A jak jest matką, to nie może być jednocześnie kobietą sukcesu.

O czymś podobnym mówiła już nawet Kaśka Nosowska, kiedy w swoim własnym kraju była „zbyt szczecińska dla Warszawy, a dla Szczecina zbyt warszawska”.

Jakie remedium na taki stan rzeczy sugeruje finalnie Gerwig? Lalkę u ginekologa. Nosowska z kolei ma to wszystko po prostu gdzieś.

Ale nie w tym rzecz – ważne, że przynajmniej jedna widzka w patriarchalnym hałasie poczuje się tym monologiem usłyszana. Tego, że ja chciałbym nasłuchać się jeszcze osób, które wciąż zostają ściszone do infradźwięków (kobiet spoza klasy średniej czy kultur czczących naturę bardziej niż zabawkowy plastik) pewnie jeszcze nie było w planach Warner Bros.

„Barbie” to film dla mas – i nie ma nic w tym złego – ale dający tym masom co najwyżej sugestię różnorodności – i tu już robi mi się przykro. Wszelkie przesłanie i idąca za nim emancypacja kończą się tutaj tylko na gadaniu. Bo padające pod koniec filmu propozycje wyprodukowania „zwykłych” Barbie, w kontraście do popularnych lalek prezydentek czy pisarek, i tak „muszą się sprzedać”. Dla producentów zabawek nikt nie jest tak naprawdę godny bycia reprezentowanym, o ile nie wyczerpie milionowego nakładu. A wplątywanie w tego jeszcze feminizmu to już spore nieporozumienie.

Po prostu zróbcie film o lalce, która ma przyjaciół, adoratorów, piękne ubrania i brak wody w rurach! Szukanie w plastikowych oczach ikony walki z patriachatem brzmi dość naiwnie. Nawet wtedy, gdy te oczy zamieniają się na prawdziwe spojówki, a ciało domaga się wizyty u ginekologa. Bowiem finał filmu ucłowieczający Barbie – dający jej tym samym niejako możliwość realnego wejścia ze swoimi rzekomo feministycznymi postulatami w prawdziwy świat – nie będzie „lekiem na całe zło”. Sama Krystyna Prońko by tego dobrze nie zrymowała.

W świecie Barbie i tak absolutnie nic się nie zmienia. Na sam koniec wracamy praktycznie do punktu wyjścia – ale przynajmniej teraz jeszcze bardziej zdajemy sobie sprawę, w jak wielkim bagnie tkwimy. Tego rodzaju samoświadomość jest tak samo wtórna, jak wszechobecny głos narratorki Helen Mirren, która przypomina nam, że lalka grana przez Margot Robbie nie ma prawa się smuć na swój widok, bo dla zachodnich kanonów piękna nigdy nie będzie brzydka. A firmą Mattel i tak nie będzie rządzić żadna kobieta. (Chociaż Issa Rae by się na to świetnie nadawała, bo z całej obsady zaufałem wyłącznie grze jej Barbie Prezydentki). I po co komu w ogóle śmieszne żarty?

Przynajmniej sam świat „Barbie” wygląda przepięknie. Żadna dwugodzinna reklama zabawki nie była jeszcze tak estetyczna. Aczkolwiek pamiętam z telewizji te fantazyjne lalki z nogami jak spaghetti, które wykręcały się we wszystkie strony! Mam tylko nadzieję, że nikt nie wpadnie na pomysł, żeby zrobić na ich podstawie film o uginaniu się ludzi pod standardami patriarchy. Chociaż...

Nie wiem, czy od razu aż chce się kupić rzucane w filmie pod niebo futerkowe dzwony albo amsterdamski zestaw do spania, ale na pewno chce się jeszcze trochę dłużej na nie popatrzeć. Scenografie też tu są piękne. Ucieczka do Prawdziwego Świata przez Holandię, kosmos i przyczepę kempingową jeszcze nigdy nie była tak bajkowa. No, i te białozębne uśmiechy bohaterów... Ale na tym zalety „Barbie” gwałtownie się

**Igor Kędzierski**